

Czerwony



Czyhały tylko, żeby mnie dopaść.

Minęłam róg i zauważyłam je natychmiast, stały dokładnie na mojej drodze, niedaleko przystanku autobusowego, i czekały. Melanie, Sara i Kim, najgorsza z nich wszystkich.

Nie miałam pojęcia, co teraz. Zrobiłam krok naprzód; mój sandał z trudem odkleił się od chodnika.

Szturchnęły się porozumiewawczo – już mnie namierzyły.

Z daleka nawet w okularach nie widziałam ich zbyt wyraźnie, ale byłam pewna, że na twarzy Kim maluje się znajomy szeroki, szyderczy uśmiech.

Stałam jak skamieniała. Zerknęłam za siebie: może mogłabym uciec z powrotem do szkoły? Zamarudziłam tam dziś i tak wyjątkowo długo. A jeśli już ją zamknięto? Gdyby jednak przypadkiem był w niej jeszcze któryś z nauczycieli? Mogłabym przecież udać, że rozboleł mnie brzuch, albo coś w tym rodzaju, może ktoś podwiózłby mnie do domu?

– Patrzcie, Mandy zamierza nawiać z powrotem do szkoły! Żałosna szczeniara! – wrzasnęła Kim.

Zupełnie jakby miała czarodziejskie okulary, pozwalające czytać w moich myślach. Oczywiście Kim nie nosiła okularów – dziewczynom takim jak ona okulary ani aparaty ortodontyczne nie są do niczego potrzebne; poza tym ten typ nigdy nie przybiera na wadze i nigdy nie ośmiesza się głupim uczesaniem ani idiotycznymi, dziecinnymi ubraniami.

Gdybym uciekła, dręczycielki i tak pognałyby za mną, ruszyłam więc im naprzeciw, choć trochę chwiejnym krokiem. Zbliżyłam się już na tyle, żeby wyraźnie widzieć ich twarze – Kim szczyrzyła zęby w wyzywającym uśmiechu, naturalnie. Dwie pozostałe również.

Starłam się zebrać myśli.

Tatuś radził, żebym na zaczepki próbowała odpowiedzieć zaczepkami. Jednak w przypadku dziewczyn takich jak Kim jego rada na nic się nie zda: po prostu w Kim nie ma nic, do czego można by się przyczepić.

Mama doradzała, żeby zaczepki ignorować, wówczas prześladowczyniom znudzi się dokuczanie.

Jeszcze się im nie znudziło.

Byłam coraz bliżej; podeszwy sandałów ciągle lepiły się do ziemi, lepiłam się też ja sama – sukienka przylgnęła do moich mokrych pleców, na czoło pod grzywką wystąpiły mi grube krople potu.

Ze wszystkich sił starałam się sprawiać wrażenie opanowanej i udawać, że łobuzice są przezroczyście. Na przystanku zauważyłam Artura Kinga i zamiast na nie, gapiłam się na niego – znowu czytał książkę. Artur nic, tylko czyta.

Też lubię książki; fatalnie się złożyło, że Artur jest chłopakiem, na dodatek trochę dziwnym – gdyby nie to, moglibyśmy pewnie zostać przyjaciółmi.

Obecnie nie mam żadnych prawdziwych przyjaciół; kiedyś przyjaźniłam się z Melanie, ale ona wolała ode mnie Sarę, a później Kim zdecydowała, że obie będą należały do jej paczki. Melanie zawsze twierdziła, że nie-nawidzi Kim, lecz dziś jest jej najlepszą przyjaciółką. Kiedy Kim zechce, żeby ktoś został jej przyjaciółką, to już nie ma wyjścia, bez dyskusji. Kim potrafi być naprawdę okropna.

Teraz miałam ją dokładnie przed sobą i nie mogłam dłużej udawać, że jej nie widzę – musiałam na nią spojrzeć. Na jej promienne, czarne oczy, lśniące włosy i wydatne usta,

rozciągnięte w szerokim uśmiechu, odsłaniającym wszystkie jej śnieżnobiałe zęby.

Widziałam ją wyraźnie nawet wtedy, kiedy zamknęłam oczy, jak gdyby przekroczyła barierę moich okularów i weszła mi prosto do wnętrza głowy – z tym nieodłącznym szyderczym uśmiechem na twarzy.

– Zamknęła oczy. Wpadnijmy na nią razem, na trzy-cztery-ryyy! – zakomenderowała Kim.

Błyskawicznie otworzyłam oczy.

– To wariatka – podsumowała mnie Sara.

– Znow bawi się w udawanie – szydziła Melanie.

O mało nie pękły ze śmiechu.

Nie mogłam znieść świadomości, że Melanie opowiedziała im o naszych wspólnych sekretnych zabawach. Oczy zaczęły mnie piec; dzielnie mrugałam powiekami, wiedząc, że w żadnym razie nie wolno mi się rozpłakać.

Zignoruj je, zignoruj, zignoruj...

– Próbuje nas zignorować! – zawołała triumfalnie Kim. – Czyżby Mamulka-Nigdy-bez-Pączulka kazała ci ignorować zaczepki tych niegodziwych, wstrętnych dziewczyszek?

Dalsze próby zignorowania przeciwnika nie miały sensu, zresztą nie było na to szans: Kim stała przede mną, twarzą w twarz, mając Melanie po jednej, a Sarę po swojej drugiej stronie. Byłam osaczona.

Przełknęłam ślinę. Kim nie przestawała się uśmiechać.

– Właśnie, a gdzie się podziewa mamuśka? – zapytała. – To do niej niepodobne, pozwolić, żeby mała Mania dreptała do domu bez opieki, całkiem sama. Rozglądałyśmy się za nią, prawda, Mel, dobrze mówię, Saro?



Wszystkie trzy na widok mojej Mamy za każdym razem poszturchiwały się znacząco i zaczynały chichotać i wymieniać szeptem złośliwe uwagi. Chichotały, szeptały i szturchały się jeszcze bardziej znacząco, gdy widziały Mamę w moim towarzystwie. Pewnego razu stała się rzecz straszna: Mama schwyciła mnie za rękę i one to zobaczyły, zanim zdążyłam ją wyrwać z maminego uścisku. Wypominały mi to przez całe tygodnie; Kim nie przestawała snuć opowieści o spacerowych wózeczkach, szeleczkach, smoczkiach, butelkach dla niemowląt – i o grzechotce dla pustej, zakutej pały.

Teraz też się poszturchiwały, szepcząc i chichocząc. Nie odpowiedziałam Kim; chciałam ją wyminąć, ale przesunęła się razem ze mną i nadal miałam ją tuż przed sobą. Zdecydowanie zbyt blisko. Zdecydowanie większą ode mnie.

– Hej, do ciebie mówię! Głucha jesteś, czy co? Mam krzyzczeć? – nie odpuszczała Kim. Pochyliła się i przysunęła tak blisko, że jej czarne, jedwabiste włosy połaskotały mnie w policzek. – GDZIE MAMUŚKA?! – zawyła mi prosto w ucho.

Poczułam, jak jej wrzask przetacza mi się przez głowę i klucząc, dociera do każdego, nawet najmniejszego zakamarka mojego mózgu. Rozejrzałam się dokoła z desperacją. Artur King podniósł wzrok znad książki i gapił się prosto na nas.

Jego uważne spojrzenie tylko pogarszało sytuację. Z całych sił starałam się zachowywać pozory, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Mama poszła do dentysty
– wyjaśniłam takim tonem, jakbyśmy sobie z Kim ucinały najzwyczajszą w świecie pogawędkę.



Melanie i Sara zachichotały, a Kim nadal uśmiechała się tak samo jak wcześniej.

– Ach tak, do dentysty... – przeciągnęła ostatnie słowo, ale przejęła mój gawędziarski ton. – Faktycznie, czas był już po temu najwyższy, prawda, Mandy? – zawiesiła głos.

Nie byłam pewna, czy się odzywać, czy lepiej nie, więc milczałam.

– Nic dziwnego, że twoja mama musiała w te pędy lecieć do dentysty – podjęła Kim. – Jest taka stara, pomarszczona i siwa, że tylko patrzeć, jak wypadną jej wszystkie zęby. Poszła obstałować sobie sztuczną szczękę, co?

Mówiąc te słowa, uśmiechała się słodko, prezentując swój własny zestaw idealnie równych, białych zębów. Czulałam się tak, jakby mnie nimi kąsała, krótko lecz boleśnie, raz za razem.

– Nie waż się obrażać mojej Mamy! – zaprotestowałam. Chciałam rozprawić się z nią tonem nie znoszącym sprzeciwu, ale wypadło to tak, jakbym pokornie błagała. Zresztą mój ton nie miał żadnego znaczenia, nikomu nie udałooby się uciszyć Kim, która raz otworzyła usta. A już na pewno nie udałooby się to mnie.

– Twoja mama wygląda na starszą niż moja babcia – oświadczyła Kim. – Co ja mówię, na starszą niż moja prababcia! Ile miała lat, kiedy cię urodziła, Mandy? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Sto?

– Głupie żarty – broniłam Mamy. – Moja Mama wcale nie jest taka stara.

– W takim razie ile ma lat?

– Nie twoja sprawa – odparłam dzielnie.

– Pięćdziesiąt pięć – wtrąciła Melanie. – A jej tata jest jeszcze starszy, ma sześćdziesiąt dwa lata.

Poczułam, że oblewam się ciemnym rumieńcem. Do wieku moich rodziców przyznałam się Melanie w największym sekrecie, kiedy jeszcze byliśmy przyjaciółkami, i przysięgła, że nigdy nikomu nie powie!

– Rany, co za s t a r u c h y! –
zawołała Sara. – Moja mama ma
dopiero trzydzieści jeden!

Wszystkie trzy zaczęły udawać
stare kobiety, głośno mlaskając
trzęsącymi się wargami i kuśtykając
ciężko.

– Przestańcie! – krzyknęłam; za-
parowały mi szkła okularów, ale
mimo to Artura Kinga widziałam na-
dał całkiem wyraźnie. Wrócił do
lektury, lecz twarz miał czerwoną
jak burak.

– Ojej-jej, najśladza kruszynka mamusi gotowa się spocić
ze zdenerwowania – wyłoshiwała się Kim. Przestała się wy-
głupiać i otoczyła ramieniem Melanie. – A jaki jest jej tatuś?
Stetryczyła stary piernik z baranym wzrokiem?

– Nosi idiotyczną brodę i chodzi po domu w kitlu – ze-
znała Melanie, i kiedy Kim w odpowiedzi uścisnęła ją radoś-
nie, Melanie wyglądała na wniebowziętą.

– W k i t l u! Tata Mandy chodzi w k i t l u! Czemu nie
w kaftanie?! Pewnie lada dzień wy-
wiozą go do domu wariatów, bo
jest za stary na dom starców! –
wrzasnęła Kim i wszystkie ryknę-
ły jeszcze głośniejszym śmie-
chem.

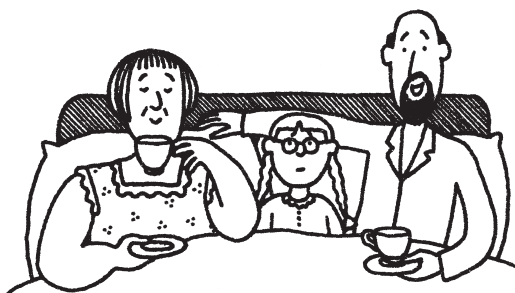
– Kitel to nie kaftan – wybeł-
kotałam w rozpaczy. – Tatuś nosi
go tylko przy pracy, kiedy maluje.

– T a t u ś!!! – aż się zachłysty-
wały z uciechy.

Paliłam się ze wstydu, twarz mi
płonęła; nie wiedziałam, jakim
sposobem wypsnęło mi się piesz-

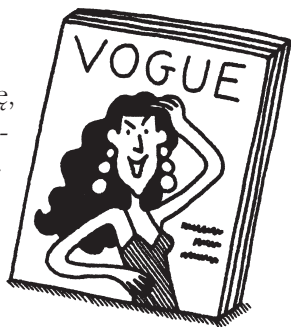


czotliwe „Tatusi”, przecież tak bardzo staram się nazywać rodziców „Mamą” i „Tatą”, jak wszyscy moi rówieśnicy. Sama uważam, że kitel Tatusia wygląda trochę głupio. I ja też chciałabym, żeby Mama nie miała siwych włosów, spuchniętych stóp uwieczonych w staromodnych sandałach i ociężałego, opasłego ciała, na którym ciasno opinają się jej bawełniane sukienki. Wolałabym, żeby Mama była młoda i piękna, i wesoła – jak inne mamy. Wolałabym, żeby Tatusi był młody i silny, i żeby huśtał mnie na rękach, jak to robią inni tatusiowie.



Chciałabym tego tak bardzo, że czasem, leżąc bezsennie w nocy, udaję sama przed sobą, że zostałam adoptowana i że pewnego dnia moi prawdziwi rodzice zgłoszą się po mnie i zabiorą mnie ze sobą. Będą oboje bardzo młodzi, eleganccy i nowocześni; będą mi pozwalali nosić najmodniejsze ubrania, słuchać bardzo głośnej muzyki i jeść w McDonalddie, a także wychodzić samej z domu i naprawdę późno wracać, i przy tym wszystkim nigdy, przenigdy nie będą się o nic gniewali. Zasypiam, rozmyślając o cudownym życiu z tymi prawdziwymi mamą i tatą – zwracam się do nich po imieniu, Kate i Nick; noszą takie ładne, d z i s i e j s z e imiona – i śnię o nich, ale niemal zawsze w najlepszym momencie snu, akurat wtedy, gdy Kate, Nick i ja jedziemy do Disneylandu albo wybieramy się do Hard Rock Café, moi własni rodzice pojawiają się niczym wyrzut sumienia. Zazwyczaj wyglądają na jeszcze starszych i bardziej zatroskanych niż w rzeczywistości;

gorączkowo wykrzykują moje imię. Udaję, że tego nie słyszę i już-już uciekam w nieznaną wraz z Kate i Nickiem, kiedy odwracam się jednak i widzę, jak moi pogrążeni w rozpacz rodzice zaczynają płakać.



Rano budzę się z takim poczuciem winy, że zrywam się na równe nogi z pierwszym dzwonkiem budzika i pędzę na dół, żeby zaparzyć dla nich filiżankę herbaty. Kiedy na wpół obudzeni rodzice popijają herbatę, nazywając mnie pieszczotliwie swoją najukochańszą, małą córeczką, wślizguję się do nich do łóżka, żeby się przytulić. Chociaż nie jestem już taka mała, rosnę przecież. I wcale nie jestem taka kochana, przynajmniej nie zawsze. Czasem potrafię dać się im solidnie we znaki.

– W porządku, powiem prawdę: zwracam się do nich „Mamusiu” i „Tatusiu”, bo mnie do tego zmuszają, ale to nie znaczy, że są moimi prawdziwymi rodzicami – wypalił ktoś znieściana i ku mojemu zdumieniu okazało się, że to ja nie zdążyłam w porę ugryźć się w język. Dręczycielki osłupiały z wrażenia, nawet Kim wyglądała na zaskoczoną. Wlepiły we mnie szeroko otwarte oczy; także Artur King gapił się na mnie ze swojego przystanku.

– Co ty wygadujesz? – odzyskała głos Kim, kładąc ręce na biodrach. Obcisła bluzeczka podkreślała jej idealnie płaski brzuch. Kim jest najzgrabniejszą dziewczyną w klasie, a przy tym jedną z najwyższych; twierdzi, że zamierza zostać modelką, gdy tylko skończy szesnaście lat. Melanie i Sara oczywiście też utrzymują, że chciałyby zostać modelkami, ale one nie są nawet ładne.

Nie mam zielonego pojęcia, kim chciałabym być, gdy dorosnę – marzę tylko o tym, żeby stać się kimś zupełnie innym, kimkolwiek, byle nie Mandy White.

– Oni nie są moimi prawdziwymi rodzicami, wcale nie nazywam się Mandy White – oświadczyłam. – To wielka tajemnica. Adoptowali mnie, kiedy byłam jeszcze mała. Znam mo-

ją prawdziwą mamę, jest po prostu fantastyczna: pracuje jako modelka, ma niesamowitą figurę, jej zdjęć pełno w każdej gazecie. Gdybym wymieniła nazwisko, od razu byście wiedziały, o kogo chodzi, niestety, nie wolno mi tego zrobić. No więc, urodziła mnie bardzo młodo, a że wychowywania dziecka nie dałoby się pogodzić z robieniem kariery, oddała mnie do adopcji, ale zawsze tego żałowała i często się do



mnie odzywa. Moich przybranych rodziców złości to okropnie, jednak nie mogą jej tego zabronić. Mama bez przerwy przysyła mi wspaniałe prezenty, różne ubrania, modne buty i w ogóle, co bardzo nie podoba się mojej przybranej matce, która trzyma te wszystkie rzeczy pod kluczem, w wielkich kufrach, a mnie zmusza do noszenia tych żałosnych, dziecinnych ciuchów... – szło mi coraz lepiej i lepiej, opowieść snuła się gładko jak jedwabna nić, prawie bez mojej pomocy, ja tylko ubarwiałam ją bogactwem szczegółów. Dręczycielki wierzyły mi bez zastrzeżeń, zasłuchane; Sara chłoneła moją bajkę z otwartymi ustami i nawet Kim była pod wrażeniem.

Na śmierć zapomniałam o Melanie, która zniecka potrząsnęła głową.

– Ty kłamczucho! – przerwała mi. – Zmyślasz jak nie wiem co! Byłam u ciebie w domu, znam twoich rodziców i wiem, że są twoimi prawdziwymi rodzicami, nigdzie nie widziałam żadnych kufrów i...

– Kufry stoją na strychu, dlatego ich nie widziałeś – weszłam jej w słowo. – To wszystko prawda, przysięgam! – upierałam się.

– No, no, na twoim miejscu bym nie przysięgała – wzruszyła ramionami Melanie. – Bo ja w i e m, że to jedno wielkie kłamstwo. Któregoś razu, kiedy zaprosiłam cię do siebie i później przyszła po ciebie twoja mama, zagadała się z moją mamą przy kawie i nudziła w kółko na twój temat: o tym, jak to przez całe lata bez rezultatu poddawała się jakiejś obrzydliwej terapii leczącej bezpłodność, o tym, że twoi rodzice już stracili nadzieję na to, że kiedykolwiek będą mieli własne dziecko i próbowali nawet jakieś zaadoptować, ale powiedziano im, że są za starzy, i o tym, że wtedy zupełnie niespodziewanie okazało się, że twoja mama jest z tobą w ciąży. „To był prawdziwy cud; nasza mała, cudowna córeńka”, mówiła o tobie. Mama wszystko mi opowiedziała. Kłamiesz jak z nut!

– Kłamczucha! – zawołała Kim, ale z jakichś niezrozumiałych względów nadal patrzyła na mnie z podziwem. Oczy jej błyszczały; przez moment prawie dopuściłam do siebie pełną nadziei myśl, że Kim da mi już spokój i pozwoli mi sobie pójść.

Nie wiem, czy rzeczywiście ośmieliłam się poruszyć i wykonać pół kroku w bok; jeśli tak, było to o pół kroku za wiele.

– Co to, to nie, Mandy, Cudowna Córeńko, Baraniogłowa Błagierko, nigdzie się nie wybierasz – orzekła Kim. – Niezły z ciebie gagatek!

– Oj, gagatek – pokiwała głową Melanie.

– Gagatek, gagatek-bez-gagatek! – wyskandowała Sara.

Na wzmiankę o „gatkach” wszystkie zachichotały.

– No właśnie, Mandy, jakie gatki masz dzisiaj na sobie? – zainteresowała się Kim i nagle szybkim ruchem zadarła mi spódniczkę.



– Przestań! – wrzasnęłam jak oparzona i obciągnęłam ją z powrotem.

Ale Kim zdążyła zobaczyć swoje.

– Jakie s ł o d z i u t k i e! – rozplęnęła się w fałszywym uśmiechu. – Białe w króliczki! Żeby pasowały do tej miniaturowej króliczej parki na twoim swetrze, który mamuśka pracowicie zrobiła na drutach! – tu wspomnianym królikom dała prztyczka swoimi długimi, suchymi palcami. – Biedna mamuśka, ściboli i ściboli na tych drutach dla swojej niewdzięcznej Cudownej Córuni, która tymczasem chodzi i rozpowiada wszystkim wokół, że została adoptowana! To będzie s t r a s z n y szok dla mamuśki, kiedy się o tym dowie!

Poczułam się tak, jakby tym swoim długim palcem przewierciła mi brzuch na wylot.

– Jak to: „dowie się”? – wychrypiałam.

– A tak to: same ją zapytamy. Jutro, kiedy przyjdzie po ciebie do szkoły. „Proszę pani, ile lat miała Mandy, kiedy ją pani adoptowała?” – spytam, a ona odpowie: „Ależ, kochanie, przecież Mandy to moja rodzona córeczka”. „A to ciekawe – powiem jej – bo Mandy twierdzi zupełnie co innego: zarzeka się, że została adoptowana” – promieniała Kim.

Melanie i Sara zachichotały niepewnie, nie wiedząc, czy Kim mówi serio.

Ale ja nie miałam wątpliwości, że Kim nie żartuje. Potrafiłam sobie wyobrazić, jak opowiada to wszystko mojej Mamie. I potrafiłam wyobrazić sobie wyraz twarzy mojej Mamy. Nie mogłam tego znieść.



– Jesteś podła, podła, p o d ł a!!! – krzyknęłam i wymierzyłam Kim siarczysty policzek.

Pomimo że Kim jest ode mnie znacznie wyższa, moje ramię samo wyciągnęło się na całą swoją długość i moja dłoń

dosięgnęła jej policzka. Policzek Kim przybrał barwę purpurową, podczas gdy drugi pozostał blady. Jej oczy pociemniały jeszcze bardziej.

– No to teraz uważaj – powiedziała i zrobiła krok na przód.

Wiedziała, że to koniec. Zepchnęłam Sarę z mojej drogi, nieomal stratowałam Melanie, rzucając się na nią szczupakiem, i wypadłam na ulicę, byle tylko znaleźć się jak najdalej od Kim, przekonana, że zaraz mnie zabije.

Znienacka przed oczyma mignęła mi duża, czerwona plama i usłyszałam pisk hamulców. Zobaczyłam autobus. Krzyknęłam. I upadłam.

